

ROMANS I POWIEŚĆ

Rok XVIII.

Warszawa, dnia 27 lutego 1926 roku.

Nr. 9.

ALEKSANDER ALFRED KONAR.

POWIEŚĆ Z CZASÓW PRZEDWOJENNYCH

8)

BEZ SERCA.

O! Te zniwelowane cyrklem co do atomu i doprowadzone do wspólnego mianownika aleje, wysadzone podwójnym szeregiem karlich kosmopolitycznych kulistych akacji. O! Te bez charakteru, quasi piękne hotele w stylu t. z. żydowskiego renesansu, podobne, jak dwie krople wody do nowych domów z ulicy Wspólnej lub Żórawiej, z elektrycznością, windą i ze wszystkimi nowoczesnymi wygodami. O! Te wszystkie nowoczesne wygody!

To im zawdzięczała pani Hela ten jakby moralny ból spróchniałego zęba, od którego z nudów dusza jej aż wyła. To temu ekspresowi, którym w samotni, w wyksamitowanym kompartymencie pierwszej klasy przejechała w ciągu 30 godzin tytaniczną przestrzeń z Warszawy do Lucerny bez atomu fatygi, bez wrażeń, bez jednej choćby niespodzianki, co do minuty zegarka, kładąc się na noc do białych poduszek pośłania w sleepingu, strojąc się w zwierciadlanym cabinet de toilette i siadając najregularniej do ukwieconego tabldotowego wagonu, obsługiwanego przez ugalonowanych lokai w restaurant international.

Brr... A teraz zamieniła tabldot wagonu na tabldot Szwajcerhofu. Od tygodnia w coraz innej hersowskiej szacie i w coraz innym kapeluszu zasiada u ukwieconego stołu do śniadania; a drugi raz w wyciętej wieczorowej sukni w otoczeniu wyfrakowanych lub wysmokingowanych gentlemanów z obu półkul świata — do obiadu, złożonego z sześciu potraw, nie licząc deseru, z codziennym majonezem, z mdłym indykiem lub bażantem z kompotami i z lodami!—O! Bogowie!

Toujours perdrix — to męka prawie nie mniejsza od głodu dla tych, co już kuropatw najedli się do syta.

Pani Hela zrobiła już dwa razy le tour du lac aż do Flüeln i z powrotem na spacerowym statku, jakby z pudełka zabawek wyjętym, lśniącym od białych lakierów i polerowanych błyszczących antab mosiężnych. Na wydywanionym pomoście w fotelu koszykowym przy filiżance herbaty z sucharkami (i z nieodłączną szwajcarską marmeladę z truskawek), podanej wraz z masłem i z miodem przez wygalonowanego szalenie kulturalnego garsona — przypatrywała się martwo biało ocukrzonym szczytom górskim. Znała je już na pamięć z punktów wszystkich stacji jeziora, na których zatrzymywał się z zegarkową punktualnością wylukrowany statek. I po sekundzie stateczek wyruszał dalej na swoich resorach ruchomej otomany, prując bez atomu hałasu toń szafirowego jeziora bez jednej zmarszczki fal, zabijając układnych, godnych tego pu-

deikowatego cacka „ze wszystkimi — psiakrew, — nowoczesnymi wygodami“.

Nareszcie wybuchła na jeziorze karykatura jakiejś burzy operetkowej z hukiem grzmotów z jakiejś bardzo nielicznej orkiestry jakiegoś trzeciorzędnego teatru... I cała publika biało wyflanelowanych mężczyzn i biało wykoronkowanych kobiet zeszła, nie spiesząc się, do wnętrza statku. Wbiałolakierowanej jadalni zajaśniały już wypolerowane mosiężne żyrandole światel elektrycznych; a przy małych śnieżnych ukwieconych stolikach, zdobnych w barwne jedwabiste abażury na świeżo ustawionych lampach elektrycznych — dokończano przyniesioną przez wygalonowanych kulturalnych garsonów rozpoczętą na pomoście herbatę, z niedojedzonymi sucharkami, masłem, miodem i naturalnie — z marmeladą z truskawek. Uf!

Grzeczna kulturalna burza wnet minęła. I pani Hela, ziewając, zawyrokowała w myślach sarkastycznie:

— Czuję, że na spienionym oceanie wśród piekielnego chaosu tytanicznych bałwanów i niesforne go huku ogłuszających piorunów trudniej nabawić się morskiej choroby, niż w tej nudnej, mdłej ciepłej glicerynie. Zgoda, że w naturze nie ma nic brzydkiego; lecz faktem, że jeżeli potęgę północy wykuł z jednej bryły cyklopi Michał Anioł — to Szwajcarję wyczelował jubiler Benvenuto Cellini.

Przeszła suchą nogą przez zupełnie już przez służbę miejską wyszczotkowaną aleję do swego hotelu, aby zmienić do obiadu swój strój spacerowy na wyciętą suknię wieczorową.

Pani Hela już nie pierwszy raz gościła w zagranicznych badach. I w swojej nabytej rutynie przewidywała, że na obczyźnie nie będzie Cezarem, który przyszedł, ujrzał i zwyciężył. Lubiła nawet te pierwsze dni, kiedy samotna w swoich pięknych, z igły zdjętych sukniach, zakupionych na te wywczasy, z kulturalną złotą z pod stempla książką Hachette'a — kontemplowała otaczającą ją nieznaną krainę z większym zajęciem, niż wertowaną kulturalną książkę.

Jeszcze bardziej zaciekawiona nie tem, jakie Lucerna na niej wrażenie czyni, lecz tem, jakie ona na Lucernie wrażenie wywiera. Ta chęć zresztą nie podziwiania, lecz pragnienia być podziwianą — charakteryzuje wszystkie kobiety wogóle, a warszawianki w szczególności.

Pani Hela wiedziała, że posiada genre, ułożenie i gust tualet pierwszej klasy; że ma wdzięk i minę kobiety „dobrze“, że jest wybitnie ładną i szykowną w swoich herzowskich tualetach. I jest wykluczonem,

aby nie zwracała uwagi. Chociaż gościnne występy najznakomitszych artystów nieraz zawodzą. Są sezony tryumfów i sezony pustek w sali. Niektóre miasta wpadają w zachwyt, a na innych scenach wzruszają ramionami, że niema czem się zachwycić. Taki hazard właśnie rozpala. A pani Hela tym razem bardziej, niż kiedykolwiek, myślała o wielkiej wygranej: o spadłym z niebios przybyłym na łabędziu nieznanym królewiczu bez stempla hierarchicznego, bez nazwiska z cudnej dalekiej, nieznannej krainy, w której kwitnie szczęście bez zastrzeżeń, z innej planety...

Lecz po tygodniowym pobycie znudzona samotnością i zniecierpliwiona rozczarowała się ostatecznie, co do nadziei swoich rychłych zwycięstw towarzyskich w tutejszym kosmopolisie.

Zapełniający Schweizerhof anglicy i amerykańcy z ich charakterystyczną dezynwolturą, z jaką znajdują się wszędzie, jak u siebie w domu — imponowali jej tym najkompletniejszym brakiem chęci wzbudzenia w otoczeniu czyjegokolwiek podziwu, uznania, lub wogóle jakiegokolwiek uwagi.

Lecz denerwowało jej mieszczańską próżność, że i ona dla nich nie istniała. Ani jej szyk warszawski, ani toalety, ani złoty tom Hachette'a, w który ubierała się tak samo na pokaz, jak w swoje kapelusze, w swoje ażury, w codzien inne pantofelki i w swój złoty face à main, z którym nie rozstawała się, pomimo najlepszego wzroku.

Żałowała, że z powodu obawy kłopotów w podróży nie wzięła z sobą z domu swego Bibi, z którym nie rozstawała się w Warszawie na spacerach, wizytach i za sprawunkami z pewnością nie z miłości dla mopsika, lecz z niewypowiedzianego sobie nawet w myślach przeświadczenia, że z Bibi na rękę jest jej „do twarzy”. Bo maleńki najczystszy bull z rasy King Charles był zarówno, jak stroje pani Heli, jak urządzenie jej mieszkania i życia całego — stanowczo piękny w swójej karykaturalnej brzydocie, zwracającej ogólną uwagę swojemi jedwabistemi czarnemi kudłami i rasową mordką, prawie bez nosa, z uszami sięgającemi ziemi.

A tu w Lucernie dokoło niej anglicy i amerykańcy, ślepi na całe otoczenie — nie przestawali zajmować się wyłącznie sobą. Zarówno damy, jak i panowie spędzali całe godziny przy dziennikach w salach czytelnianych, lub załatwiali przy małych biurkach prywatne korespondencje na arkusikach listowych z firmą Szwajcerhofu. W gabinetach gry przy ustawionych karcianych stolikach grali w bridża, a w salach bilardowych walczyli w partjach karambolu, lub w hallu gwarzyli w rocking-chairach wyłącznie we własnem towarzystwie z całą bezpretensjonalną swobodą, jak u siebie w domu. A młodzi tenisowali, flirtowali, dancinowali.

(D. c. n.).

JULJUSZ KADEN-BANDROWSKI.

P O W I E S C.

61) CZARNE SKRZYDŁA.

Stukając palcem w odstawiony łokieć Dusiównej (była w nowym, nieznanym jeszcze płaszczu, czy też może w rajtroku przenicowanym; granatowym, pogurbionym, do tego kapelusz odświętny, bardzo przedziwny), wytłomaczył Tadeusz po prostu —

— Co było wynalezione, jako wynalazek, było doskonałe, warte każdego patentu nie takich głupców, jak tu, ale wszystko pomyliła Nina, to jest Kostryńiówna. Sama wiesz, — córka dyrektora waszego!

Lenorę aż dźgnęło. Warem oblało. W szarych oczach zadrżały iskry ogromne, twarz spłonęła czerwienią, w uniesionych wysoko piersiach jakoby upadło słowo zaprędkie, — którego wymówić już nie mogła.

Mieniewski przysunął się bliżej, chciał powiedzieć, warjatce głupiej, — co i jak?! Zapóźno!

Z izby wychodził ksiądz w złotym ornatcie. Tuż za nim widniał ulizany łeb ministranta, Pstrokońskiego.

Co bliżsi ludzie, nawet Martyzel, nie mówiąc o Szymczykach, nawet Duś, taki zawsze w gębie mocny, cofnęli się. Powiało ciszą, daleko, przez całe podwórze i za płot, między sprzedawców z loteryjkami.

Ksiądz Kania stał przy sieczkarni. Obiecał sobie przeczekać tu nie więcej, niż sekundę! No, — dwie, niech będzie trzy.... Pięć najwyżej, — aż się ciżba przyszykuje duchowo. Żarliwe bicie serca odmieniało mu wszystko, — w oczach, w ciele, we krwi, w głowie, w całym istnieniu własnem, cudzem, — każdym.

Oto znikomy widok tej sieni, ludzie czekający, poodal nędzne chaty, wody wyciśnione z gleby po-

miętej, żelazne klamry i sznurowanie przeplecione nad powierzchnią.... Oto w dali kominy. Oto pod ręką tłum, twarz przy twarzy, żłobiona czarnym rylcem pracy.

Czemże jest znikomość owa, tak dowodnie w tej chwili widziana? Niczem, — zasłoną innej zasłony, w którą się Prawda przebiera, coraz wyżej i wyżej aż ku samemu Bogu! Który jest niczem innym, jak tylko całym ziemskim światem, we wszystkich jego odmianach, po wszystkie wieki, bez żadnego pierwszeństwa tych wieków w czasie nieustannym.

Tu zatrzymały się myśli księdza Kani, choć czuł w przerażeniu, iż Bóg jako świat cały słowo ostatecznie pełne wieczności, — może być też zasłoną?!

Otarłszy czoło, Kania wyszedł na próg. Po ludziach przebiegło to ukazanie się, jak wiatr po łące. Ksiądz minął kazalnicę i naprzeciw słońca kroczył stanowczo, mimo mężczyzn, dziewcząt, kobiet przerażonych świątobliwie, różnych starców wyzółkłych, — przed siebie naprzód.

Nad wszystkimi górował wzrostem. Wydała mu się teraz droga, tak znana, tyle razy schodzona, — parę kroków przez wieś na ciemną, aksamitną od zwietrzałości hałdę, — drogą jedyną i świętą. Aż dziw, że jakaś pręga, odbicie, ślad trwały nie pozostanie z tego dłużej na niebie zmiennem!

Ludzie tłoczyli się za ornatem, każdy pragnął bliskości, Pstrokoński w szacie osobliwej, wojskowościelnej odganiał natrętnych.

Kania słyszał owo odganiecie i słyszał mrowie wszelakiej myśli własnej, miałkiej, — lecz nie słuchał... Nie zważał na przeróżne wspomnienia domowe, chłopskie, wiejskie, — gdzie się człowiek rodził, a gdzie

go to wyniosło, — wspomnieniem ojca, matki, seminarjum, upokorzeń, pierwszych rzymskich święceń, niczem się nie przejmował, pewien jednego na wieki.... Iż niesie w sercu, niezmylonem żadną chucią ziemską braterstwo największe! Zpośród ludu jarzmem uciśnionego, pod ziemię zepchniętego braterstwo wiar i objawień! Obrotny klucz nadziei jedynej, pokój wieczny, zniszczenie przesądów zaświatowego życia, rozumienie Pisma proroków w figurze, jako słów wiecznego powrotu, z ziemi, — dla ziemi.....

Braterstwo, zgodę, zgodność wszystkich objawień i wiar.

Pot zlewał księdzu czoło, spływał ze skroni, ciemniało w oczach aż do zaniewidzenia,—jakoby naprzeciw tych prawd wszystkich leciały z hałdy przez srebro słońca trzepocące czarne skrzydła dumy i pychy człowieczej.

Skądże tu jeszcze pycha?! Czyż nie powstaje ta sprawa z pośród najnędrniejszych, czyż nie jest każdy dopuszczony, nawet obwieś, czy za wszystkie ozdoby nie starczy tu śpieszne dreptanie zdyszanych biedaków po grudzie?!

W orszaku rozciągniętym wydrapali się na płaskowzgórzu szare i zetlałe, gdy z pustych okien i prostokątów po drzwiach wypłynęła pieśń nabożna, chóralna, z prostoty starodawnej aż sztywna. Nucily ją kobiety wybrane przez drugiego ucznia, wiadomego marynarza, sukнем handlującego, odpowiednio przyuczone.

Martyzelka na czele, rozplómięta, czerwona, żywcem wniebowzięta, — z czego w głosie jej wynikały okrzyki gwałtowne.

Ksiądz, zatrzymawszy się na rozbitym progu, wciągnął nozdrzami chłodne powietrze. Utkwił oczy w napis, nad ołtarzem —:

„*To, co było niegdyś — teraz jest — a co będzie już było*“.

Szumiało tu podobieństwo tej samej rzeczy w najróżniejszych czasach, wiekach, postaciach, o tej samej prawdzie w człowieka wcielonej, czy to był Budda, Chrystus, Żyd, Chińczyk święty, czy oto znów po tysiącu wieków inny, zwykły ksiądz Kania.

Takiego nabożeństwa ludzie nigdy jeszcze ani nie widzieli, ani nie pamiętali. Jeżeli kogo nie przekonało, to może Dusia i jeszcze kilku takich zatwardziałców. Wszyscy inni lgnęli od pierwszych słów do wszystkiego.

Do tej szczerzej prostoty świętej, — w tak strasznej biedzie.

Sam Martyzel miał silne wątpliwości, rozdzielone między świeckim umysłem swoim a tą sprawą mityczną. Patrzył w niebo, płynące nad rzadkimi belkami rudery i pouczał Dusia o podobnych obrzędach dawnych, z czasów pierwszego chrześcijaństwa wśród słowian. O świętym Wojciechu, jeszcze jakimś Brunonie, jakichś pięciu braciach męczennikach i owoczesnej międzynarodówce rzymskiej..

Słowa tej mszy księdza Kani, polskie, stare, bez jednej krzynki łaciny, nęciły sumienie człowieka, — takie były zrozumiałe. Psuło trochę, że Pstrokoński, niby inwalida, ale wszędzie dobrze znany ze swych sprawek podejrzanym, charkotał za grubo swoją ministranturę.

Jak zawsze na tym świecie! Co jeden zepsuje, to drugi znów naprawi. Pstrokoński psuł, ksiądz całym sobą, „samo przez się“ naprawiał. Gdy się odwracał od ołtarza z desek zbitego, haftami kilku kobiet licho nakrytego, — krasił mu twarz uśmiech niebiański.

Trudnoby inaczej nazwać taki uśmiech! Zdziwiony potrosze, zalękniony a uradowany.

Msza cała była śpiewana. Pienie księdza nie było gładkie, za to niezmiernie donośne. Po księdzu wypadała zaraz odpowiedź chóru kobiecego z dwoma mężczyznami w tyle, którzy dudnili, — za basów. Niebardo kto wiedział, co za jedni, pewno przybysze bezrobotni.

Były marynarz stukał żelaznem narzędziem, czyli kamertonem o belkę, coś zaczynał, tamci podchwytywali i tak płynął ten śpiew w spokoju zimowego przedpołudnia i w dosłyszalnej chyba uchem męce ludzkich piersi.

Martyzelka wydzierała się pierwsza i ostatnia. Żarliwy swój głos wydawała z pewnem trzęsieniem głowy, od czego mężowi Martyzelowi żyły bezsilnego wysiłku występowały na skronie. Wyciągał przed siebie ręce, opryskane niebieskimi śladami po prochu i pytająco kierował ku Dusiwowi.

Tadeusz odbił się od sygnalisty w pogoni za Lenorką. Gdy się nabożeństwo zaczęło, gdy pierwsze nabożne słowa poleciały od ołtarza, postanowił w jakimś szczerym zamęcie uczuć wyznać Dusiwowi bez ogródek, bez żadnych przystawek „lirycznych“, że żyją ze sobą. — Ja Mieniewski, — z twoją siostrą, mój bracie. Tak się złożyło!

Pohamował się, — trzeba przedtem wyjaśnić całą tę złośćo Ninę.

Przedzierałi się jedno za drugim, przez tłum gęsty, a dopadli się dopiero przy wyjściu. Tadeusz zagonił Lenorę tak mądrze we wgłębienie belek, iż nie miała stąd drogi ani w lewo, ani w prawo, ani w tył. Zwarli się w ciżbie, powiało na Mieniewskiego rozegrzaną ciepłotą dziewczyny, pachnącej pospołu barskiem mydłem i polem.

Tu, dopiero, w bliskości, gniewie, żarliwej żądzy przekonania spotkali się dziś naprawdę.

Dzwonki, chybnawszy od ołtarza, zadrżały w powietrzu, tłum pochylił się, razem z innymi Tadeusz i Lenora. Przywarł do niej zaczesaną skronią do ramienia, rękami ujmując przez talję — jakby pragnął podtrzymać w ten sposób, pokrzepić, czy ratować.

Rozgarnęły się w Lenorce całe morza gniewu, obrazy i łaskawości nieprzewidzianej. Nie dawała poznać po sobie. Starła się odchylić, umknąć, gdy tuż nad uchem zaszumiały czułe słowa Tadeusza—:

— Co się miotasz, głupia, no co? I tak cię kocham, — wiesz sama.

Przymknął oczy. Leciały mu przez zmrużone źrenice jakieś plany, jakieś przyszłości, jakieś postanowienia mądre jakichś czynów i myśl o tem nabożeństwie gwałtownem a warjackiem, w którego cieniu związali się rękami i słowami.

Postanowił do nikogo nic już nie pisać, wszelkie ślady zatrzeć za sobą i „utonąć“ pośród tych ludzi. Dusiówna trzymała głowę na wełnistej kratce raglana, płynąc twarzą po włosiu tam i napowrót. Oczy miała zamknięte, — jak do błęgiego snu.

Tadeusz popatrzył na nią, poczem, rozrzewniony, ku oknu. Przez rozłupany parapet zaglądała do wnętrza wydłużona gęba Supernaka. Portjer wsunął się, załypał oczami i znikł.

Lenora z Tadeuszem pochyliłi ku sobie głowy i tak trwali, ogarnięci uczuciem niewzruszonego spokoju.

(D. c. n.).

Ł Z Y.

Dzisiaj właśnie skończyłem sześćdziesiąt lat. Myślę o tem, wracając wolnym krokiem z restauracji, w której się stołuję. Nie ożeniłem się, nie mam ogniska domowego i jadam w restauracji. Mój żołądek jakoś to wszystko wytrzymuje, a ja jestem zwolniony od robienia rachunków z kucharkami.

Udało mi się przytem wynaleźć jakąś wyjątkową restaurację. Teraz, gdy idę z cygarem w ustach, czuję się dobrze i lekko.

Czyż doprawdy skończyłem już 60 lat?...

Jak się to stało, mój Boże!

Wszystkie moje wrażenia życiowe splątały się w kłębek, a cała ich suma sprowadza się do jednego wrażenia, które teraz w tej chwili przeżywam.

Czy wrażenie to jest ujemne?... Nie mogę jakoś zdać sobie sprawy. Dzień jest piękny, słońce nie piecze, lecz świeci radośnie. I w sercu mojem rozkwita znowu jakaś nadzieja.

Nadzieja, — na co?...

Jeżeli nic z wszystkich moich pragnień się nie ziściło, co może teraz się stać, co by moje szare i nikomu niepotrzebne życie opromieniło?...

Twarze wszystkich przechodniów na ulicy mówią mi, że już nic stać się nie może.

Patrzę na te twarze i stwierdzam, że każda niemal jest młodszą od mojej. A choć czuję się niezłe i bronię się przed sklerozą nienajgorzej, zaczynam czuć niepokój.

Bo gdzie są ci, których twarze są, jak moja, zmarszczone, a wąs siwym szronem okryty?...

Na stu przechodniów jednego może takiego spotkam. Wszyscy inni to młodsi odemnie. Idą, nie patrząc na mnie wcale.

Ale ja patrzę na nich. Bo wiem, że niebawem będą również, jak ja, białym szronem okryci.

Jedyna namiętność, jaka mi jeszcze pozostała, to karty. A że zdaję sobie sprawę, jak marną jest ta namiętność, czuję się sam marnym i lichym. I tylko przy kartach, w towarzystwie takich samych, jak ja, zapominam o sobie. Kombinacje karciane pochłaniają mnie, i milknie na chwilę dręczące mą duszę pytanie, dlaczego ten skarb, jakim jest życie, tak nędznie i głupio zmarnował.

...Przyśpieszam kroku i, nie patrząc na nikogo, wracam z wygasłym cygarem do domu.

Siedzę przy swoim miłym biurku i myślę o tem, że ludzie wyrządzili mi dużo złego.

Ale i ja je wyrządzałem.

I rzecz dziwna: teraz, gdy myślę o tem, cierpię daleko więcej na wspomnie-

nie krzywdy, jakie innym wyrządzałem, niż na wspomnienie tych, jakie mnie spotykały.

Czyżby ten aforyzm, że człowiek nie po to żyje, aby być szczęśliwym, lecz aby innych szczęśliwymi czynić, czyżby ten aforyzm był prawdą życiową?...

Wzrok mój padł na stojącą na biurku wyblakłą fotografię.

To fotografia Frani. Stoi już tak przeszło dwadzieścia pięć lat.

Jest stałem przypomnieniem krzywdy, jaką wyrządziłem tej dziewczynie. Krzywdy banalnej, takiej, o której codzień się słyszy lub mówi.

Ta wysmukła dziewczyna o blond włosach i zielonawych oczach przywiązała się do mnie. A i ja, w miarę jak stosunek nasz się przedłużał, kochałem ją coraz więcej.

Było to jedyne w mem życiu uczucie bezinteresowne.

Nie żądała nigdy niczego odemnie. Pracowała w jakimś wielkim magazynie i przychodząc do mnie wieczorami, zabierała z sobą jakąś robotę.

A ja rozprawiałem o swych planach, o swej przyszłości...

Bo czyż chcieć — to nie znaczy — móc?...

Frani od czasu do czasu podnosiła oczy od swojej roboty i wstawiała uwagi.

— Nie — dowodziła — chcieć to nie znaczy móc. Wręcz przeciwnie. Kto mniej chce, ten więcej może.

Nie pamiętam, ile takich wieczorów spędziliśmy razem. To wiem napewno, że bardzo dużo.

Aż razu pewnego ogarnął mnie lęk.

Ten węzeł, jaki mnie łączył z Franią, stawał się coraz ciaśniejszym i najwyraźniej groził ołtarzem.

Moje wielkie plany, moje rojenia o przyszłości zniweczyłyby się odrazu.

I postanowiłem tak, jak się postępuje w każdym porządnym kinematografie. Napisałem banalny list, załączyłem czek i w najbanalniejszy sposób wyjechałem na studia za granicę.

Siedziałem tam blisko dwa lata i walczyłem z obrazem wysmukłej dziewczyny o blond włosach i zielonych oczach. Narazie walka okazała się zwycięską. Nowe wrażenia starły obraz niemal do cna.

W miarę jednak uderzeń życiowych, zawodów i niepowodzeń, obraz Frani wynurzał się znowu. Widziałem ją, jak podnosiła głowę od swej roboty i wstawiała uwagę, że chcieć to wcale nie znaczy — móc.

I wtedy to wyciągnąłem jej fotografię i ustawiłem na biurku.

A jednocześnie ogarnęła mnie szalona chęć naprawienia wyrządzonej krzywdy. Lecz wszelki ślad Frani zaginął. Wyjechała, jak twierdziły meldunki, nie wiadomo dokąd.

I zrozumiałem wtedy, że nie każdemu jest dana możność tej najpiękniejszej

rozkoszy, jaką jest — naprawienie krzywdy.

Służąca zapala światło i stawia mi na biurku szklanę herbaty.

Budzę się z zadumy. Patrzę na zegarek; jest już po siódmej. Wypijam zwolna herbatę, ubieram się i wychodzę. Jak zwykle, jak codzień zmierzam do klubu.

Zastaję te same twarze niepowodzeńców życiowych.

Przyszli, jak ja, utopić swe myśli w kombinacjach karcianych.

A może i zyskać jakie grosze... Bo gramy tanio, różnice są niewielkie, ale i te coś stanowić mogą.

Tę chęć drobnego zysku wyczytuję w twarzach swych partnerów, i to mnie drażni. Staję się opryskliwy i robię uszczypliwe uwagi. Ale i moi partnerzy są w tem do mnie podobni.

Czuję, że niesmak w duszy mej wzrasta. Nie mogę grać dłużej. Wynajduję jakąś wymówkę i wychodzę wcześniej, niż zwykle.

Nawet to, co dawało mi chwilowe wytchnienie od dręczącej zmyśli nicości, — nawet karty, zawiodły. Czuję, że już nigdy nie przyjdę do klubu. A do swych partnerów żywię większą jeszcze nienawiść, niż do tych wszystkich przechodniów, którzy tamują mi przejście.

Potrącam ich z odrazą i z rozkoszą wsłuchując się w dolatujące mych uszu wymysły i przekleństwa.

Schody, prowadzące do mego mieszkania, są już ciemne.

Powoli stąkam, zapalając zapałkę.

Nagle słyszę kwilenie dziecka.

Zapalam świeżą zapałkę i nachylam się. W kąci przy oknie schodowem leży coś, zawiniętego w lachmany.

To „coś“ jest sine i kwili ostatkiem swoich sił.

Cofam się z przestachem i obrzydzeniem. Ale to trwa krótko.

Sam nie wiem, dlaczego mam łzy w oczach. Zbliżam się znowu do zawiniętych lachmanów i biorę je w ramiona.

I w miarę, jak unoszę je ku swemu mieszkaniu, jakaś niewysłowiona błogość ogarnia mnie.

Nie!... Za nic nie oddam tego skarbu, jaki znalazłem! On jest mój, mój!...

Danem mi jest wynagrodzić krzywdę! Danem mi jest osuszyć jedną z łez, które przezemnie były wylane.

Bo to morze łez, do którego wszystkie łzy spływają, jest przecież jedno i niepodzielne!...

W morzu tem są łzy Frani, są też łzy tego dziecka...

Czy nie wszystko jedno, jaką z tych łez osuszam?...

Tak!... To wszystko jedno!..

Mówi mi to ta radość życia, którą w tej chwili odczuwam.